

Blizny po ukąszeniu

System, który nastał w Polsce po drugiej wojnie światowej, przyniósł ludziom wchodzącym wtedy w dorosłe życie pełną ofertę: głównej roli w przemianach wszystkiego na lepsze, w przewartościowywaniu całej tradycji intelektualnej, ale także norm ludzkiego współżycia. Zdawało mi się wówczas i trochę później, że mało kto się tej pokusie oparł. Dzisiaj widzę, że było inaczej. Nie tylko istniały środowiska-wyspy, ale i w domach rodzinnych członków partii i w duszach wielu ludzi związanych rozmaicie z instytucjami ówczesnego państwa obowiązywały nadal (nie zawsze, naturalnie, tak było) kryteria podstawowe, niezmiennie i niepodległe prawom historii, którą to podległość głosił marksizm.

Przy tym, wielu wybitnych ludzi nauki, wszelkich specjalności, zafascynowało się szczerze pewnymi elementami marksizmu, głównie metodologią oraz ideami społecznymi, głoszonymi, choć nigdy nierealizowanymi, przez komunizm. Hegłowski „ukąszenie historią”, nazywane od czasu przywołania tego określenia przez Czesława Miłosza „ukąszeniem heglowskim”, pozostawiło blizny, o których, jak mi się zdaje, już można rozmawiać — uwzględniając odmienną sytuację w naukach ścisłych, których nie dało się uprawiać z pomocą „metody marksistowskiej”. i w humanistyce, gdzie metoda właśnie kryła największe pokusy. Oto pierwsza rozmowa z cyklu „Blizny po ukąszeniu”.

Magdalena Bajer

Miałem rozterki — nie mam wyrzutów

Z prof. Kazimierzem Urbanikiem,
matematykiem z Uniwersytetu Wrocławskiego,
rozmawia Magdalena Bajer

Magdalena Bajer: Czy odnajduje Pan w swojej biografii moment „ukąszenia historią”?

Kazimierz Urbanik: Byłoby mi trudno... Urodziłem się w Krzemieńcu i pierwsze lata przeżyłem w Liceum Krzemienieckim, gdzie mój ojciec był stolarzem. Liceum Krzemienieckie to była wielka, świetnie zorganizowana instytucja, należało do niej tzw. Pedagogium, trzyletnia szkoła

pomaturalna kształcąca nauczycieli. Były internaty, stajnie, bo transport był wtedy konny, majątki ziemskie, ogrody. Podczas wakacji odbywały się warsztaty różnych ognisk plastycznych z całej Polski i ja, czując się bardzo ważny, chodziłem za „artystami”, nosząc sztalugi (robione przez ojca), no i sam też coś rysowałem. Trzy ogrody dzieliły nasz dom od dworku, gdzie urodził się Słowacki i mieszkali państwo Bécu. Jak pamiętam, długo uważałem, że Słowacki był jedynym naszym wieszczem, takim to byłem krzemienieckim patriotą!

Pierwsze lata upływały mi beztrasko i aż do 1941 roku niewiele się zmieniło, w każdym razie ja, dziesięcioletni z górą chłopiec, nie odczuwałem zmian. W szkole dalej uczono po polsku, dalej uczono religii i robili to dalej nasi przedwojenni nauczyciele. Potem zaczęli znikać — oni i inni ludzie — wywożeni lub aresztowani. W domu mówiło się o wywózkach i to wywoływało strach. Najpierw wywozili osadników wojskowych. Na Wołyniu były całe wsie osadników wojskowych, którzy świetnie gospodarowali i niektóre z tych wsi były bardzo piękne. W następnej kolejności Sowieci wywozili inteligencję z miast. Po wkroczeniu Niemców w 41 roku znaleziono listy i podobno myśmy też byli na liście do wywózki. Możliwe, bo mój ojciec wojował w Armii generała Hallera i podczas pierwszej wojny bronił Lwowa.

— Czy w domu mówiło się o polityce?

— W domu był kult Marszałka, ale przypominam sobie, że ojciec czasem bardzo krytycznie wyrażał się o Piłsudczykach, którzy, jego zdaniem, spychali Hallerczyków na drugi plan. Rozumiałem, że organizacje kombatanckie rywalizują ze sobą o miarę przelanej krwi, ale nie czułem w tym agresji.

— Wkroczenie Sowieców nie było ustrząsem, dopiero Niemców?

— Niemcy zamknęli polskie szkoły. Nas wyrzucili z mieszkania. Zniszczyli Liceum Krzemienieckie, zakładając tam najpierw szpital, później Genossungsheim. Spalili ławki szkolne, usunęli książki z bibliotek (nie widziałem, żeby palili książki albo wywozili), co mnie bardzo przygnębiło, bo lubiłem czytać i jeszcze przed pójściem do szkoły byłem częstym gościem biblioteki, znali mnie tam, brałem sobie np. Trylogię.

— W domu były książki?

— Było trochę, no i były u różnych znajomych, przede wszystkim u nauczycieli. Taki podstawowy kanon — sporo dzieł polskich, trochę jakichś ówczesnych nowości z literatury powszechnej.

Rok 1941 to był krach. Polskiej szkoły nie ma. Do ukraińskiej mnie nie przyjęli, bo nie znałem języka. Jak całe moje pokolenie uczyłem się na taj-

nych kompletach prowadzonych przez nauczycieli z Liceum Krzemienieckiego — trochę matematyki, trochę fizyki, chemia bez laboratorium. Z początku zajęcia odbywały się regularnie i często, z czasem coraz rzadziej. W 1943 roku wygasły zupełnie. Ciągłe mogłem czytać — na szczęście.

W maju 1945 wyjechaliśmy do Brzegu nad Odrą i znów zacząłem chodzić do szkoły. Musiałem zdać egzamin, choć gdybym się uparł, przyjęto by mnie do czwartej klasy gimnazjalnej — czegoś się na kompletach nauczyłem. Zostałem w trzeciej. W tym czasie poznałem moją przyszłą żonę. Rodzina Przyborowskich przyjechała też z Kresów, gdzie mieli majątek. Młodszy syn, który był ciężko ranny na wojnie, chciał studiować i musiał zdać przyspieszoną maturę, ja uczyłem go matematyki.

— Już wtedy interesował się Pan matematyką?

— Miałem w gimnazjum bardzo dobrą nauczycielkę, p. Kubrychtównę, absolwentkę Wydziału Matematycznego we Lwowie i to ona wszczepiła mi zamiłowanie do matematyki. Od niej dowiedziałem się, że do Wrocławia przyjechali słynni profesorowie z Uniwersytetu Jana Kazimierza, że tam jest kontynuacja Lwowskiej Szkoły Matematycznej. Bardzo mnie to interesowało, szczególnie, że już wtedy czytałem różne artykuły, mniej lub bardziej popularne, najczęściej w „Problemach” i nawet książki o matematyce.

— „Kalejdoskop Matematyczny”¹ też?

— „Kalejdoskop” akurat wpadł mi w ręce później, na studiach, gdy już poznałem autora.

Przyszedłem na studia w 1948 roku. Bardzo prędko, na drugim roku, dostałem pół etatu zastępcy asystenta u profesora Edwarda Marczewskiego.

— Marczewski, który ukrywał się w Warszawie, dzięki pomocy Władysława Bartoszewskiego (zaprzyjaźnili się trwale), został przywieziony przez Niemców na roboty do Wrocławia. Przeżył oblężenie miasta i zaraz po zakończeniu wojny stanął do jego odbudowy oraz tworzenia polskiego uniwersytetu i Wydziału Matematyki. Był rektorem w latach 1953–1957. Trzeba te fakty przypomnieć, gdyż taki pierwszy mistrz to, jak sądzę, ważne w biografii Pana Profesora.

— Naturalnie. Powiem Pani, że troszkę się zastanawiałem nad kierunkiem studiów. Myślałem nawet o Akademii Sztuk Pięknych, coś mi

¹ Hugo Steinhaus „Kalejdoskop Matematyczny” — słynna książka popularyzująca matematykę, pierwsze wydanie, w języku polskim oraz angielskim, Lwów 1938, ostatnie 1989. Tłumaczona na kilkadziesiąt języków, w tym chiński i japoński, kilkakrotnie publikowana w Stanach Zjednoczonych. W przygotowaniu kolejne polskie wydanie.

zostało z czasów krzemienieckich, kiedy to uzyskałem wyróżnienie w konkursie dla dzieci za rysunek Marszałka... w trumnie (było to w 1935 r.). Bardziej konkretnie myślałem o architekturze, bo tam się łączy rysowanie z matematyką, ale...

— Wpływ p. Kubrychtówny przeważał?

— Widocznie.

— Przeszedł Pan na uniwersytet w roku 1948, który to rok stał się w historii Polski istotną cezurą. W grudniu nastąpiło „zjednoczenie ruchu robotniczego”, powstała jedna partia i zaczęły się jej rządy.

— Staram się odtworzyć moje ówczesne odczuwanie tego, niewątpliwie przełomowego, czasu. I tak: Najpierw radość z tego, że się dostawałem na studia, że będę miał kontakt z wybitnymi uczonymi, największymi matematykami. To uczucie dominowało, z pewnością. Pamiętam pierwszy wykład profesora Marczewskiego i to, że on był elegancko ubrany, elegancko się poruszał, a sam wykład był świetnie skonstruowany (potem, gdy blisko współpracowaliśmy, przekonałem się, że Marczewski niezwykle starannie przygotowywał wykłady). Wszystko razem stanowiło jakby występ teatralny. Otrzymywaliśmy, my studenci, gotowy produkt, całe dochodzenie do tego pozostawało tajemnicą. Zupełnie inaczej wykladał, również wielki matematyk, Bronisław Knaster. Improwizował, dzięki czemu poznawało się „kuchnię”: „Nie, ta droga jest zła, trzeba tu przeskoczyć, tu ominąć jakieś przeszkody, tu zebrać cząstkowe wyniki...”. Miał też ogromne poczucie humoru i tę, raczej rzadką cechę, jaką jest tolerowanie dowcipów o sobie. Podobno nawet sam je wymyślał i puszczał w obieg.

— A Hugo Steinhaus, uważany za największego?

— Steinhaus był jeszcze inny. Słyszał z poczucia humoru, ale nigdy nie lubił być bohaterem anegdot. Powiedziałbym, że trzymał się zawsze na wysokim piedestale, co nie przeszkadzało mu żywo się interesować i pomagać w rozwiązywaniu naukowych problemów młodym ludziom, których uważał za zdolnych. Wykladał świetnie.

Do wielkich należał jeszcze Władysław Ślebodziński. Przed wojną pracował na Uniwersytecie Poznańskim, a do Wrocławia przyszedł z Oświęcimia, gdzie najpierw, jako matematyk, został przydzielony do komanda prowadzącego jakieś rachunki dla armii. Nikt z więźniów, naturalnie, nie wiedział do czego to służy. Ślebodziński powiedział mi kiedyś: „Wie Pan, SS była zbrodniczą organizacją, natomiast Waffen SS — nie.” Później przeniesiono go do bardzo ciężkiej pracy, zupełnie stracił siły, przeżył dzięki osobliwemu zbiegowi okoliczności. Otóż kapo, którym był niemiecki kryminalista, zobaczył kiedyś u Ślebodzińskiego suwak logarytmiczny

i poprosił więźnia, żeby go nauczył się tym posługiwać. Widząc go później w kolejce do gazu ów Niemiec odegrał wielkie oburzenie i wrzeszcząc: „Chcesz się wymigać od roboty!” wyciągnął profesora na bok.

Mówię dużo o tych wielkich matematykach, gdyż oni stanowili świat sam w sobie. Dla młodego człowieka uczestniczenie w uczcie intelektualnej, jaką nieustannie dla nas studentów zastawiali, było wielkim szczęściem. Dużo później czytałem pamiętniki Steinhausa, Marczewskiego i znajduję w nich potwierdzenie tego, co myśmy jakoś odczuwali, choć wtedy pewnie nie bardzo rozumieli. Ci ludzie, po koszmarze okupacji, chcieli jak najprędzej wrócić do normalnego życia, zając się matematyką i nauczaniem matematyki. Wkładali wiele trudu, żeby uczynić życie normalnym i myślę, że to zmieniało w naszych oczach obraz tamtego złego czasu.

Trzeba też powiedzieć, że budowaniu względnie normalnego życia uniwersyteckiego, paradoksalnie, sprzyjał totalny bałagan pierwszych lat powojennych, może szczególnie we Wrocławiu, przedłużając okres jakiejś takiej swobody — przed nastaniem pełnego stalinizmu. Profesor Knaster, który lubił edytorstwo, chciał zorganizować wydawnictwo matematyczne, jeździł po Dolnym Śląsku i zwoził nierozszabrowane jeszcze maszyny drukarskie. Powstała oficyna Uniwersytetu Wrocławskiego, która później przeszła do PWN. W latach pięćdziesiątych potrzebny był komuś dokument, na podstawie którego to wydawnictwo działało. Znalaziono tylko... odmowę ministerstwa.

— Zaraz po wojnie wielcy matematycy organizowali to normalne życie wedle reguł tradycyjnie obowiązujących w środowisku akademickim. Wiemy jednak, że od przełomu lat 1948/49 stawało się to coraz trudniejsze.

— Od początku było jasne, że Polska nie jest całkowicie niepodległym suwerennym państwem, że pewne ważne decyzje nie w Warszawie zapadają, że nie prowadzimy samodzielnej polityki zagranicznej. We wszystkich gazetach artykuły polityczne były takie same w swojej wymowie, to dawało do myślenia — myślącym. A jednocześnie świeże było przeżycie klęski Powstania Warszawskiego, które nie zdołało powstrzymać procesów, przed którymi miało być obroną. Mnie się zdaje, że i nasi mistrzowie, i my, pokolenie uczniów, mówiliśmy sobie: „Wszystko jedno, jakie są warunki, byleśmy mogli swoje dzieło prowadzić”, a to dzieło to była całość pracy na uniwersytecie — badania i nauczanie, dla nas uczenie się.

Trzeba też pamiętać o tym, że w świecie nauk ścisłych przed wojną socjalizm jako idea społeczna był, może nie wyznawany, ale uznawany. Egalitaryzm, przeciwstawianie się szowinizmowi narodowemu miało za cenne wartości.

— Powiedział Pan „wszystko jedno, jakie są warunki” — ile mieściło się w tym „wszystko”?

— Wie Pani, ja dopiero w latach sześćdziesiątych dowiedziałem się, że w Polsce byli tacy ludzie, którzy chcieli siedemnastej republiki; to byłoby na pewno poza granicą dopuszczalności, o jakiej mówiłem przed chwilą. Ci wielcy matematycy, których spotkałem we Wrocławiu, nie byli mocniej zaangażowani ani po stronie ówczesnego państwa, ani po stronie przeciwnej.

— A Pan sam?

— W 1946 roku, jeszcze w szkole, wstąpiłem do OMTUR, organizacji młodzieżowej związanej z PPS. Z PPS sympatyzował mój ojciec, choć do partii nie należał. OMTUR stała intelektualnie wyżej niż ZWM — przybudówka PPR. Instruktorami u nas bywali dawni działacze niepodległościowi, nawet AK-owcy.

W 1948 roku różne organizacje młodzieżowe na naszym wydziale połączyły się tworząc Federację Polskich Organizacji Studenckich (FPOS). Znalazł się tam i Bratniak prowadzący bibliotekę, organizujący repetytoria i studenckie sesje naukowe — nie bardzo było wiadomo, czy FPOS to jest organizacja polityczna, społeczna czy ruch naukowy? Z tego potem wyłonił się ZAMP (Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej). Wstąpiłem do ZAMP, a w 1952 roku do PZPR.

— Jak na to patrzyli mistrzowie?

— Rozmawiałem z niektórymi przedtem. Nikt mnie nie powstrzymał. Mówili: „Dobrze, jak tam będzie więcej rozsądnych ludzi”. Nic się też nie zmieniło w stosunkach z moimi mistrzami, a wówczas były to już stosunki bliskie — z czasem stały się przyjacielskie.

Podobne rozmowy miałem po marcu 1968 roku, kiedy część z nas, i ja też, chciała rzucić legitymacje partyjne.

— Rok 1968 musiał być dla środowiska matematycznego dużym wstrząsem. Wielu Pana mistrzów to byli ludzie żydowskiego pochodzenia.

— W tym właśnie czasie, kiedy atmosfera była dla tych ludzi najbardziej niesprzyjająca, profesor Steinhaus powiedział do mnie: „Proszę pana, jak jest, tak jest, ale gdyby jakiś wróg napadł na Polskę, to ja chwyciłbym za karabin”. Bardzo mi to zaimponowało.

— Jednocześnie ludzie takiej miary, ogromnie przenikliwi, a także doświadczeni, nie przeciwstawiali się głośno zagrożeniu moralnemu, zniewoleniu, w jakim żyło społeczeństwo od 1945 roku, a na pewno od lat pięćdziesiątych?

— Nikt się nie sprzeciwiał — do pewnego czasu, ale wtedy kiedy kształtowała się opozycja, to i w partii wyłoniły się grupy, może tych „roz-

sądnych ludzi”, które chciały różne rzeczy zmienić. Nawiązywały się kontakty pomiędzy takimi grupami w rozmaitych miastach. Coś im się udało zrobić. Czegoś się nie udało...

— Co się udało?

— Mogę mówić o tym, co mnie się udało. W roku 1969 Edward Marczewski otrzymał doktorat honorowy Uniwersytetu Wrocławskiego. Wiedziałem, że będą sprzeciwy, po pierwsze ze strony ówczesnego „pomarcowego” rektora, potem ze strony komitetu wojewódzkiego partii, który nigdy by się na to nie zgodził. Omówiłem rzecz z kolegami matematykami z Warszawy i poszedłem do sekretarza KC PZPR, który dał się przekonać oczywistym argumentom o nadzwyczajnych zasługach Marczewskiego dla nauki wrocławskiej, dla uniwersytetu. Naturalnie, żaden z niższych funkcjonariuszy nie ośmielił się protestować. Spraw, które można było załatwić tylko poprzez partię, było więcej.

— Czy wśród matematyków byli „marcowi docenci”?

— Proszę Pani, wtedy nominacje na docenta przyznawały czynniki partyjne, z pominięciem uniwersytetu. Takich przypadków na matematyce wrocławskiej nie było i, o ile wiem, na żadnym większym uniwersytecie (Warszawa, Kraków, Poznań) też nie. W 1969 roku zmieniono ustawę, tworząc możliwość powoływania na stanowisko docenta bez habilitacji, ale przez Radę Wydziału, Senat itd. Takich docentów mieliśmy trzech. Dwaj w momencie nominacji mieli już w toku przewody habilitacyjne i wkrótce, normalną drogą idąc, zostali profesorami. Trzeci był świetnym dydaktykiem, a później stał się aktywnym działaczem opozycyjnym — nikt mu tamtej nominacji nie wypomina.

— A czy w młodym pokoleniu wrocławskich matematyków dużo było partyjnych, w tym działaczy?

— Owszem, byli. Niektórzy pełnili rozmaite funkcje.

— Z wewnętrznym zaangażowaniem?

— Proszę Pani, w matematyce jest bardzo proste kryterium prawdy: dowód. W badaniu naukowym niezbędny jest krytycyzm, a matematycy są, może szczególnie, skłonni do krytycyzmu, który jakoś się przenosi na rzeczywistość pozamatematyczną, jakkolwiek, jak mówiłem, rzadko dotyczył on spraw politycznych. Dam Pani przykład, do czego doprowadził krytyczny osąd sytuacji doskwierającej nie tylko nam. Pamiętamy, młodszy chyba wiedzą, jak władze komunistyczne izolowały społeczeństwo od kontaktów zagranicznych. Dla nauki jest to zabójcze. Wymyśliliśmy centrum międzynarodowe w Warszawie, gdzie spotykałby się matematycy z różnych krajów — wschodnich i zachodnich, urzędzałoby się „semestry”

poświęcone jakiejś problematyce i to byłoby otwarcie drzwi do normalnego świata, zwłaszcza młodym. Zaczęły się starania — do prezesa Akademii Nauk ZSRR jeździł wiceprezes PAN, wielki matematyk, Kazimierz Kuratowski — efekty były mizernie. Radzieccy koledzy informowali nas, że ich czynniki partyjne sprzeciwiają się. W roku 1970 pojechaliliśmy z profesorem Zbigniewem Ciesielskim do Moskwy na rozmowę z bardzo wielkiej sławy matematykiem Iwanem Winogradowem, który był dyrektorem Instytutu Matematycznego AN ZSRR. Umówiono nas na godzinę 8 rano czasu moskiewskiego, czyli 6 naszego. Za ogromnym biurkiem siedział łysy, rzeński, starszy pan i tak nas powitał: „A, Polacy. Ja w 1910 roku, w gimnazjum w Wielkich Łukach miałem dwóch kolegów Polaków. Synowie inżyniera dróg żelaznych. Byli bardzo zdolni. Mieliśmy dobre postępy, ale nie byliśmy kujonami. Pamiętam, jak chodziliśmy razem do sadu jabłka kraść...”. Myśmy sobie przygotowali przemowy o tym Centrum Banacha, o międzynarodowym braterstwie uczonych, a Winogradow rozczulił się wspomnieniami z dzieciństwa. Gdy skończył opowieść, rzucił krótko: „O szczegółach porozmawiacie z moimi młodymi zastępcami”. Wyjął z czeluści biurka butelkę koniaku: „Za Międzynarodnyj Centr Banacha!”. Wypiliśmy koniak o wpół do siódmej rano, przez następne pół godziny omówiliśmy szczegóły i sprawa była załatwiona. Dzięki synom jakiegos inżyniera kolejowego, pewnie zesłańca. Co by było gdybyśmy nie wypili?

Bez przesady można powiedzieć, że Centrum Banacha — otwarte w 1972 roku — to był wyłom w „żelaznej kurtynie”. Rosjanie nas podziwiali, bo im się wcześniej podobny plan nie udał.

— Jak odnosiło się środowisko matematyczne do utworzenia Polskiej Akademii Nauk — na gruzach Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, które były samorządnymi zgromadzeniami uczonych?

— Niektórzy nazywają PAN instytucją stalinowską, dlatego że była podporządkowana władzom państwowym. Zdaje mi się, że na stosunek matematyków do Akademii wpływała pewna tradycja tego środowiska. Otóż, chyba dwa lata przed wojną grono wybitnych matematyków — uczestniczył w tym profesor Knaster, od którego znam tę sprawę — skierowało do Ministerstwa Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych memoriał o utworzenie Narodowego Instytutu Matematyki. Miałby koordynować badania prowadzone w różnych ośrodkach kraju, współpracę międzynarodową, kształcić młodych itd. Wojna przerwała prace, ale zaraz po wojnie ludzie zaangażowani w nie, przede wszystkim profesor Kura-

towski, powrócili do swej idei. Nie mogło być nazwy „narodowy”, powstał Państwowy Instytut Matematyczny (PIM), który w 1952 roku został włączony do PAN jako Instytut Matematyczny.

— Istniała jeszcze wtedy formalnie PAU...

— W PAU działali głównie matematycy krakowscy. Stanisław Zaremba był tam główną postacią. Najbardziej nowatorskie, zgoła rewolucyjne idee matematyczne rodziły się wówczas we Lwowie i w Warszawie. Między Lwowsko-Warszawską Szkołą Matematyczną a ośrodkiem krakowskim występowały kontrowersje, które dzisiaj wydają się raczej mało istotne. Zaremba uważał np., że matematyk powinnen po studiach pójść do szkoły — gimnazjum, liceum — i przez kilka lat uczyć, żeby nabrać pedagogicznego szlif. W Warszawie i we Lwowie inaczej, sądzono, że jak najszybciej powinien startować w pracy naukowej.

— Kariera Pana Profesora przebiegała wedle tego drugiego schematu?

— Tak jest. Zacząłem, jak już mówiłem, od zastępcy asystenta jeszcze na studiach. Potem byłem asystentem, adiunktem. W 1956 roku zostałem kandydatem nauk — ówczesny odpowiednik doktora — w roku następnym uzyskałem tytuł docenta przyznawany na podstawie oceny dorobku przez recenzentów z różnych ośrodków. W 1960 roku zostałem profesorem. Zajmowałem się teorią prawdopodobieństwa, która bardzo bujnie się w tamtych latach rozwijała i była pierwszą linią frontu w matematyce. W związku z tym jeszcze przed profesurą spędziłem jakiś czas w Stanach Zjednoczonych. W roku 1964 zostałem profesorem zwyczajnym i członkiem korespondentem PAN, rok później członkiem zwyczajnym. Mając 35 lat, byłem najmłodszym akademikiem, dopóki mego rekordu nie pobił Andrzej Trautman, trzydziestoczteroletni fizyk z Warszawy.

— Proszę powiedzieć czy w świadomości matematyków, w ich zbiorowej pamięci, pozostało coś, co łączy kolejne pokolenia z pokoleniem tych wielkich mistrzów, u których Pan terminował?

— Myślę, że tak. Zasady wypracowane i wypraktykowane przez Polską Szkołę Matematyczną, właśnie to środowisko moich mistrzów oraz ich kolegów, po wojnie rozproszonych po świecie, okazały się trwałe. Przede wszystkim owa zasada wczesnego startu, którą dzisiaj o wiele łatwiej urzeczywistniać, bo mamy kontakty z każdym ośrodkiem na kuli ziemskiej, bo każdą książkę można szybko sprowadzić, nie mówiąc już o wymianie myśli przez internet.

— Był Pan rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego w latach 1975–1981. Czy udało się zrobić coś ważnego na tym stanowisku?

— Był to zły czas. Władze chciały moralnie i intelektualnie stłamsić uniwersytety, zrobić z nich szkółki. Uniwersytet Wrocławski to miało być coś w rodzaju dolnośląskiej szkoły pedagogicznej. Praca naukowa miała iść na bok. Marcowi docenci, oczywiście, przeciwko temu nie protestowali. Postawiłem sobie za cel pokazanie, jak dzisiaj powiedzielibyśmy, opinii publicznej, no i władzom, że nauka jest najważniejsza, a nauczanie zależy wprost od poziomu badań — tak żeby nie dało się tego podważyć. W pierwszym przemówieniu inauguracyjnym używałem takich sformułowań: „Nauka jest konstrukcją nośną uniwersytetu”..., jaki funkcjonariusz może temu zaprzeczyć? „Młodzi, którzy tu przychodzą, muszą się skąpać w prawdziwej nauce, jak w blasku Słońca, a nie w odbitej księżycowej poświacie...”, jak z tym polemizować?

— Czy miał Pan wtedy jakiegokolwiek oparcie w partii?

— W instancjach partyjnych było kilku profesorów i oni mnie popierali. W uczelni miałem kontrę niekoniecznie ze strony członków partii, czasem gorsi bywali „bezpartyjni bolszewicy”, jak ich nazywano, ludzie wykorzystujący bezpartyjność dla własnych interesów, którzy nieraz bardzo szkodzili, bo z kolei dla czynowników partyjnych popieranie takich ludzi stanowiło doskonały sztyl, szczególnie jeśli byli to cenieni specjaliści, a i tak się zdarzało. Nigdy nie dzieliłem ludzi na partyjnych i bezpartyjnych, tylko na mądrych i głupich. Uważam, że ten drugi podział jest w życiu zbiorowym bardzo ważny.

— Można rozróżnić prawych i nikczemnych...

— Można i trzeba, ale zazwyczaj prawość idzie w parze z mądrością, a nikczemność z głupotą, chociaż nie zawsze tak się dzieje.

— Przeżywając takie rzeczy, wiedząc, że nie są rzadkie, wierzył Pan, że obecność w partii może się przysłużyć środowisku naukowemu, uniwersytetowi, samej nauce?

— Nigdy nie miałem wątpliwości, czy to, co ja robię jest dobre, czy złe, szczególnie gdy moja działalność znajdowała uznanie — różnych stron. Wiosną 1981 roku niektórych rektorów usunięto ze stanowisk. Mnie kończył się akurat ostatni rok drugiej, zatem też ostatniej kadencji. W październiku urządziłem inaugurację według rytu lwowskiego: sprawozdanie ustępującego rektora, przemówienie programowe rektora-elekta, przekazanie insygniów. Byłem później mile zaskoczony, gdy nowy Senat przyznał mi Złoty Medal Uniwersytetu. Uczelniana „Solidarność” często się ze mną kontaktowała i można powiedzieć, że współpracowaliśmy, gdy jeszcze byłem rektorem.

W nowej epoce, w 1990 roku, nowojorska Fundacja im. Jurzykowskiego przyznała mi nagrodę, a wiadomo, że stosowano tam kryteria również polityczne.

— Myślę o tym, co Pan Profesor powiedział na temat braku wątpliwości...

— To nie znaczy, że nie miałem wahań. Przeżywałem nieraz ciężkie rozterki, ale kiedy oglądam się wstecz — nie mam wyrzutów sumienia.

— Ani poczucia służenia złej sprawie?

— Przeciwnie. Może to nieskromne, ale mam poczucie, że w złej rzeczywistości trzeba było starać się robić coś dobrego. Starałem się i czasami się udawało.

— Po tym wszystkim, co usłyszałam od Pana Profesora, zastanawiam się, jak stosować do matematyków diagnozę o „ukąszeniu heglowskim”?

— Nie można uprawiać matematyki „po marksistowsku”, to oczywiście. Nie wyobrażam też sobie, żeby jakiegokolwiek instancja partyjna ingerowała np. w treść pracy doktorskiej czy jakiejś publikacji z nauk ścisłych, a to się przecież zdarzało w humanistyce. Natomiast w sferze zarządzania, kierowania instytutem lub uczelnią, to że byłem członkiem partii pozwalało nieraz skuteczniej się bronić przed różnymi absurdalnymi i szkodliwymi nakazami. Trywialnym przykładem może być zwolnienie mocno protegowanego przez nasz wrocławski „biały dom” (KW PZPR), pracownika, który był słaby naukowo. Powtórzę tu, że my matematycy jesteśmy w dobrej sytuacji, ponieważ mamy niepodważalne kryterium prawdy naukowej.

— W środowisku matematycznym znalazło się w latach siedemdziesiątych wielu działaczy opozycji demokratycznej, nierzadko spośród ludzi bliskich dawniej idei socjalistycznej.

— Jednym z przywódców był u nas profesor Stanisław Hartman. córka Marczewskiego była związana z KOR i przy rozmaitych szykanach mogliśmy jej pomagać.

Stan wojenny wywołał szok. Byłem wtedy dyrektorem Instytutu Matematycznego i pamiętam naphywające wciąż, z głównego gmachu uniwersytetu, zupełnie zdumiewające zarządzenia o nadzwyczajnych środkach ostrożności, co miało wywołać wrażenie, że grozi nam jakiś wróg. Przez cały długi korytarz w naszym budynku, gdzie normalnie przesiadywali studenci, zrobiliśmy labirynt z ław i stołów, żeby portier z drugiego końca widział, jak „wróg” się przeciska i mógł coś zrobić — nie wiem co. Rozmaitości kontrolerzy, jacy nas nachodzili, musieli przyznawać, że to bardzo dobre zabezpieczenie, choć szlag ich trafiał, kiedy sami pokonywali te

przeszkody. Dzisiaj wydaje się to zabawne, ale wtedy naprawdę nie wiedzieliśmy, co z nami będzie.

— *Istnieje takie przeświadczenie, że uczeni, którzy w czasach PRL wyjeżdżali za granicę, musieli za to płacić kontaktami ze służbą bezpieczeństwa.*

— Matematycy byli tu znów w korzystnej sytuacji, ponieważ politycy zupełnie nie rozumieją tego, co my robimy i nawet nie podejrzewają, że coś z tego mogłoby się im przydać. Nie jest to, oczywiście, dowód, że żaden matematyk nigdy nie składał jakichś raportów, ale opowiem Pani pewną historię. Podczas wojny wielki uczonec, Norbert Wiener, prowadził badania na użytek Air Force i US Navy, które były starannie utajnione aż do roku 1947, kiedy to opublikował swoje wyniki. Niezależnie od niego, w tym samym czasie, Andriej Kołmogorow, w Moskwie, uzyskał analogiczne wyniki i opublikował je od razu w czasopiśmie niemieckim, którego egzemplarz od tego czasu leży w bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego i, oczywiście, nie tylko tam.

— *To zadziwiające, zważywszy jak zamknięci i podejrzliwi byli Sowieci.*

— Po prostu nie wiedzieli, co mają, a z kolei wywiad niemiecki stawał na głowie, żeby wykryć, co zrobił Wiener. Pokazuje to, jak politycy nie mają pojęcia o matematyce.

— *Mogliby zabiegać o to, żeby mieć na usługach matematyków...*

— Robią to, ale rzadko. Może nam nie ufają?

— *Czy zgodziłby się Pan Profesor z opinią, że matematyka z racji swej natury chroniła przed „ukąszeniem heglowskim” polegającym na zafascynowaniu metodologią czy, zgola, ideologią, a zarazem to wewnętrzne uzbrojenie, świadomość jasnych kryteriów prawdy naukowej, mogło usprawiedliwiać doraźne kompromisy polityczne?*

— Może ma Pani rację.

Rozmawiała Magdalena Bajer